№ 49.

Warszawa, dnia 21 Listopada / 3 Grudnia 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych: na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

OD REDAKCYI.

Tygodnik Mód w roku przyszłym 1865 będzie wychodzić pod temi samemi co dotąd warunkami, w jednéj zawsze treści i dążności łączenia zajęcia z prawdziwym pożytkiem. Jak dotąd tak i nadal, do każdego numeru dołączane będą ryciny paryzkie, wzory haftu lub tablice z krojami ze szczególną bacznością na ich praktyczność i dokładność. Podając wiadomość o przedmiotach służących do ubrania tak nadeszłych do sklepów i magazynów Warszawskich, jak pojawiających się za granicą, na żądanie prenumeratorów przesyłać będziemy próbki wszelkich materji, bezpłatnie, a za opłatą od jednego złotego do sześciu najwyżéj dochodzącą, formy ubrań jak najtroskliwiéj upasowanych. Dla prenumeratorów załatwiać będziemy również wszelkie sprawunki, bez względu na ich wartość pod warukami dotąd praktykowanemi.

Część literacka redagowana podług jednych zawsze zasad, obejmować będzie jak to miało miejsce i w latach ubiegłych, obrazy historyczne, artykuły naukowe, sprawozdania z obcéj literatury, korrespondencje z Paryża, tygodniowe pogadanki, poezje, kronikę literacką, nowości muzyczne i literackie, a w półarkuszowym dodatku, dołączanym prawie zawsze do każdego numeru, mieścić się będzie powieść oryginalna I. J. Kraszewskiego lub Pauliny

Wilkońskiéj, albo tumaczona przez Sewerynę Pruszakową z angielskiego. Na rok przyszły mamy już przygotowaną powieść p. t. *Wór dziurawy* przez Jacentego Bijaka napisaną.

Cena prenumeracyjna pozostaje ta sama, a mianowicie: w Warszawie kwartalnie złp. 10 (rs. 1 kop. 50); na prowincji rocznie złp. 50 (rs. 7 kop. 50); półrocznie złp. 25 (rs. 3 kop. 75). W Cesarstwie z dopłatą kopert pocztowych rocznie rs. 9 kop. 50; półrocznie rs. 4 kop. 75.

Ponieważ rachunki z końcem roku zamknięte być muszą, upraszamy przeto wszystkich, od których z naddatków na sprawunki lub zastąpienie opłaty prenumeracyjnéj przypadają należytości do zwrotu dla Redakcji, aby raczyli takowe odesłać, adresując jak zwykle do J. K. Gregorowicza ulica Żabia Nr. 956 w Warszawie.

JAN BAUDRY

PRZEZ

AUGUSTA VACQUERIE.

OSOBY.

Jan Baudry.
Olivier, jego wychowaniec.
Bruel.
Gagneux.
Barintin, stary sługa.
Komisant.
Adela, córka pana Bruel.
Pani Gervais, siostra pana Bruel.
Służąca.

Piérwszy Akt odbywa się w Paryżu, trzy następne w Hawrze.

AKT I.

MAŁY SALON.

SCENA I.

PANI GERVAIS potém BRUEL.

PANI GERVAIS. (*trzymając motek włóczki*)

Adelo potrzymaj mi tę włóczkę.

ADELA (*kładąc robotę na stoliku*)

Dobrze Ciociu.

PANI GERVAIS.

Na czém by ją tu zwinąć. Poszukaj mi jakiéj karty.

ADELA. (*podając wizytowy bilet*)

Oto jest.

PANI GERVAIS.

Weź motek.

BRUEL. (*zaglądając przez drzwi*)

Adelo!

ADELA.

Ojcze!

BRUEL.

Gdzie położyłaś moją kamizelkę?

ADELA.

Na twojém łóżku ojcze.

BRUEL.

Nie widzę jéj...

ADELA.

Zaraz ją podam. Przebacz ciociu wrócę za chwilę.

BRUEL. (*do pani Gervais*)

Czy nikt się o mnie nie pytał?

PANI GERVAIS.

Nikt.

BRUEL.

Nie przyszły listy z Hawru?

PANI GERVAIS.

Byłabym je oddała.

BRUEL.

Tyś taka roztrzepana pani siostro!

ADELA.

Choć ojcze (*pociąga go*).

PANI GERVAIS.

Ja roztrzepana! Gdzież podziałam kartę Adeli.

SŁUŻĄCA. (*wchodząc*)

Pani Biran przysyła z zapytaniem o zdrowie pani.

PANI GERVAIS.

Powiedz, że mi lepiéj. Pójdę sama podziękować za pamięć.

SŁUŻĄCA.

Zostawiono na dole kilka biletów wizytowych, przyniosę je pani.

PANI GERVAIS.

Daj je tu.

(*Służąca wychodzi*)

PANI GERVAIS. (*przeglądając bilety*)

Pani Romanet. — Pan Hervel. — Pan Bacier.— Pan Vincent. Kto to jest ten pan Vincent? Nie znam go wcale. (*Czyta*) „Czekać będę u siebie do piérwszéj.“ Niech sobie czeka i cóż mnie to obchodzi? Zapewne jakaś pomyłka. Odeślę tę kartę na dół. (*Woła*) Adelo!

(*Adela wchodzi, za nią Bruel*).

ADELA.

Jestem ciociu.

PANI GERVAIS.

Potrzymaj mi włóczkę. (*Adela bierze motek na ręce. Pani Gervais zwija włóczkę na bilet wizytowy pana Vincent*).

BRUEL. (*zbliżając się do zegaru*)

Czterdzieści minut na piérwszą.

PANI GERVAIS. (*do Bruela*)

Nie stłucz że mi tego wazonu.

BRUEL.

A więc nikt o mnie nie pytał?

PANI GERVAIS.

Już powiedziałam że nikt.

BRUEL.

Czy pewno?

PANI GERVAIS.

Pocóżbym miała taić.

BRUEL.

Rzecz niepojęta!... I ten list z Hawru nie nadchodzi. Czy odźwierny oddaje wszystkie listy.

PANI GERVAIS.

I cóżby z niemi robił. Stłuczesz mi wazon pewna jestem.

BRUEL.

Trzy kwandranse na piérwszą.

PANI GERVAIS. (*wskazując wazon nn kominie*)

Powiadam ci, że do téj pamiątki, przywiązuję nie małą wartość.

BRUEL.

Przecież jéj nie zjem, bądź spokojna.

PANI GERVAIS.

Niezjesz zapewne, ale stłuczesz. Co ci się stało bracie, nie możesz utrzymać się na miejscu. To siadasz, to wstajesz, dotykasz wszystkiego, kręcisz się bez potrzeby. (*Naśladuje poruszenie Bruela, i potrąca łokciem wazon, który spada z komina, i tłucze się na kawałki*). A co nie mówiłam?

ADELA. (*biegnąc do ojca*)

Czyś się nie skaleczył drogi ojcze?

BRUEL.

Nie.

PANI GERVAIS.

Wcale bym nie żałowała. Otóż po moim wazonie. Nie darmo ostrzegałam cię tyle razy.

BRUEL.

Samaś go stłukła siostro.

PANI GERVAIS.

Co? Ja! a to mi się podoba!

BRUEL.

Tak, nie inaczéj, o małożeś mnie nie skaleczyła w rękę. Przebaczam ci to, ale rzecz dziwna że się gniewasz bez najmniejszego powodu.

PANI GERVAIS.

Niechże i tak będzie. A więc mój wazon nie stłuczony. Oh! to nie do zniesienia.

BRUEL.

Cóż takiego?

ADELA. (*uspokajając ojca*)

Ciotka tylko co wyszła z choroby.

BRUEL.

Masz słuszność. No moja siostro, daruj mi przyznaję się do winy. Ofiaruję ci za to parę piękniejszych jeszcze wazonów. Jestem dziś w drażliwém usposobieniu. Co się stało że statek nie przychodzi?

ADELA.

Drogi ojcze! gdybyś już raz porzucił ten handel nie miałbyś tych bezustannych kłopotów!

BRUEL.

Gdybym go porzucił, umarłbym może z bezczynności, a potém nie miałbym za co kupić mojéj córeczce pereł i kaszmirów Indyjskich.

ADELA.

O! mam już dosyć pereł! a wszakże panny nie stroją się w kaszmiry.

BRUEL.

Mam nadzieję ze nie zostaniesz zawsze panną.

ADELA.

Źle się bierzesz ojcze do zapewnienia mi przyszłości.

BRUEL.

Jakto?

ADELA.

Czy wiesz dla czego nie poszłam jeszcze za mąż, choc skończyłam rok dwudziesty pierwszy? bo zanadto jestem bogata.

BRUEL.

Za nadto bogata!

ADELA.

Tak jest. Ja pragnę aby mąż kochał mnie dla mnie saméj. Nie mów żem marzycielka, wiesz że nią wcale nie jestem. Przeciwnie, wychowaliście mnie z matką, na rozsądną i rzeczywistą kobiétę. Od najmłodszych lat byłam zawsze z wami, kilku dobrych przyjaciół, teatr, oto cała rozrywka nasza. Takie życie prowadzićbym mogła, tylko z mężem prawdziwie do mnie przywiązanym. Dotąd ile razy kto prosił o moją rękę, pewna jestem że to czynił dla posagu. Czy pamiętasz tego syna bankiera? Zdawało się że mnie tak kocha, tak wielbi! nieprawdaż? przystałam na żądanie jego, z warunkiem że zamiast kapitału, będziesz mu płacił procent: otóż i miłość znikła jak bańka mydlana, a teraz oto poślubił kapitał i szczęśliwy!... Od téj chwili zwątpiłam o wszystkich. Tak jest, jam za nadto bogata! Czy myślisz ojcze że obraz nie traci, kiedy ma zbyt kosztowne ramy. Czyż książka nie zazdrości czasem, za nadto ozdobnéj okładce? Tak i ja zazdroszczę posagowi memu. Dla niego to odwiedzają nas, w nim się kochają, o niego czynią takie zabiegi. O! jakżebym chciała być ubogą. A może też to ów posag, który dla obojętnych tak wielką ma ponętę, wstrzymuje właśnie tego, co mnie prawdziwie ukochał. Jest może gdzie na świecie, jaki zacny młodzian, który nie śmié wyznać przywiązania swego, w obawie żeby go nie winiono o chciwość. Brzęk pieniędzy wszystko głuszy w tym domu!

BRUEL.

Panna bogata nie wié dla czego ubiegają się o jéj rękę, ale uboga wié dla czego nie idzie za mąż.

ADELA.

Jeśli mnie nikt nie zechce, zostanę tak, jak jestem. Czy ci źle ze mną drogi ojcze?

BRUEL.

Gdybym był samolubem, czułbym się zupełnie szczęśliwy. Ależ ty cierpiałabyś na tém dziecię moje. Nie wyzywaj lepiéj ubóztwa, żeby cię Opatrzność nie złapała za słowo.

ADELA.

Wierz mi ojcze, ja mówię szczerze.

PANI GERVAIS.

Któ wié, może ty kochasz jakiego ubogiego młodziana.

ADELA.

Nie, ja nie kocham nikogo.

BRUEL.

Tym lepiéj. A teraz muszę odejść. (*Wychodzi potem wraca za chwilę*). Siostro czy będzie tu twój doktór?

PANI GERVAIS.

Czyś słaby bracie?

BRUEL.

Baudry często pisuje do niego, może być że odebrał wiadomość. Prosiłem Baudrego żeby mi doniósł o jednéj ważnéj sprawie.

PANI GERVAIS.

Pan Olivier będzie tu za kwandrans.

BRUEL. (*zbliżając się do komina*)

Zaczekam chwilę.

PANI GERVAIS.

Nie stłucz że drugiego wazonu. (*Bruel siada, bierze w rękę dziennik*).

ADELA.

Ojcze, powiedz mi, czém jest Olivier panu Baudry.

BRUEL.

Zadajesz mi pytanie na które sam nie wiem jak odpowiedzieć.

PANI GERVAIS.

Ostrzegam cię że bardzo lubię Oliviera, i nie pozwolę mówić o nim źle w mojéj obecności.

BRUEL.

Ja też nie obwiniam go wcale. Powiedziałem tylko że go nie znam.

PANI GERVAIS.

Jakto widujesz go przecie od lat dziesięciu?

BRUEL.

Widziałem go kilka razy w Hawrze, kiedy był jeszcze w szkołach, a następnie kiedy jako uczeń uniwersytetu, przepędzał wakacje w domu pana Baudry. Mimo to wcale nie wiem kto on jest.

PANI GERVAIS.

Nie zupełnie ci wierzę. Jesteś przyjacielem pana Baudry, czyż podobna abyś go nie pytał o niego?

BRUEL.

Mówił mi że to ubogi sierota, bez rodziców, że go wziął małém dzieckiem na wychowanie.

PANI GERVAIS.

Prawda; pojmuje że kto nie ma dzieci, może łatwo przywiązać się do ładnego i miłego chłopczyny.

BRUEL.

Olivier był dzieckiem nieznośném, gwałtownego i porywczego charakteru.

PANI GERVAIS.

Przesadzasz bracie. Był trochę żywy, uparty zwyczajnie jak większa część chłopców. Nie każdy tak jak ty urodził się pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Otóż więc z tego nikczemnego dziecka, wyrobił się najszlachetniejszy i najzacniejszy młodzieniec.

BRUEL.

Straciłem go z oczu w ostatnich czasach. Odkąd został doktorem nie bywa już w Hawrze. Baudry mówił mi że w istocie bardzo się odmienił na swoją korzyść.

PANI GERVAIS.

Mnie to zapytaj o niego! Od czasu ostatniéj choroby widuję go codziennie powtarzam ci że to młodzian jakich mało. Pełen poświęcenia, rozumu i osobistéj godności.

BRUEL.

Istny Anioł! ale zagrażam ci że był prawdziwym djabłem. Baudry nie mógł sobie z nim poradzić. Ja sam namawiałem go nieraz, żeby się pozbył téj uciążliwéj opieki.

PANI GERVAIS.

Piękna rada!

BRUEL.

Lecz Baudry mówi na to. „Jak chcesz, nie jestem jego ojcem.“ Skoro mu niczém nie jesteś, pocóż go trzymać w domu? Przyznam się że nigdy nie mogłem zrozumiéć, czemu Baudry obsypywał dobrodziejstwy chłopaka, który tak mu się źle odwdzięczał.

ADELA.

Może to właśnie było dla niego, tém silniejszą pobudką.

BRUEL.

Jakto? że mu odpłacał złém za dobre?

PANI GERVAIS.

Tak jest, rozumiem myśl Adeli.

BRUEL.

Rozumiesz że trzymał w domu cudze dziecko, dla tego, że było złe i krnąbrne. Co do mnie, nie umiem tego pojąć. (*Patrzy na zegar*) kwandrans na drugą. Twój doktór nie przychodzi... biegnę do pana Vincent.

PANI GERVAIS. (*przypominając sobie nazwisko*)

Vincent?

BRUEL.

Tak jest, na niego właśnie czekałem. Nie rozumiem czemu nie przyszedł lub nie przysłał. Taka była umowa między nami.

PANI GERVAIS.

Vincent? poczekaj chwilę. (*Zbiera bilety wizytowe ze stołu i szuka, nie znajdując biletu pana Vincent spostrzega że zwinęła na nim włóczkę*).

BRUEL.

No i cóż?

PANI GERVAIS.

Zabawna rzecz muszę przewinąć moją włóczkę. Jesteś nieznośny.

BRUEL.

Sprzeczasz się a zawiniłaś sama.

PANI GERVAIS.

Kto z tobą trafi do ładu.

BRUEL.

Czy Vincent tu był?

PANI GERVAIS. (*odwijając włóczkę z kłębka*).

Pytałeś o list z Hawru? czemuż nie było powiedziéć że czekasz na pana Vincent? tak jest był i zostawił bilet wizytowy, na którym nakreślił cóś ołówkiem.

BRUEL.

I gdzież ten bilet?

PANI GERVAIS. (*podając*)

Masz go.

BRUEL. (*czyta*)

„Do piérwszéj!“ już za późno. Mniejsza oto... biegnę.

SŁUŻĄCA. (*oznajmiając*)

Pan doktór (*wychodzi*).

BRUEL (*do pani Gervais*)

Powinien ci dać lekarstwo na roztargnienie!

PANI GERVAIS.

A tobie na niegrzeczność.

BRUEL. (*do wchodzącego Oliviera*)

Witam pana czy masz wiadomość z Hawru?

OLIVIER.

Żadnéj.

BRUEL.

Przepraszam że odchodzę. Do widzenia (*wychodzi*).

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

---

*
* *

W chwili rozpoczęcia z Wami gawędy, Warszawa osypana śniegiem wygląda niezmiernie poważnie, jak posiwiała matrona dumająca nad ubiegłą bezpowrotnie młodością. Sławny meteorolog Mathieu, przepowiada na sam koniec bieżącego miesiąca lub początek przyszłego, wielkie burze na wybrzeżach morskich francuzkich, wenecjańskich i odeskiéj. O środkowym pasie ziemi w którym i my zamieszkujemy, na szczęście nic nie wspomina, i głównie jak się zdaje, badania swoje kieruje ku portom i drogom morskim. Pomijając proroctwa pana Mathieu spełniane często ze ścisłością nader zdumiewającą, gazety przyniosły smutne wiadomości o zniszczeniach sprawionych w różnych stronach świata, przez powodzie i niesłychane burze.

W ostatnich dniach Października w Styrji miało miejsce silne trzęsienie ziemi i niezwykle długie, bo z akompanjamentem grzmotów i przeraźliwego łyskania, trwające przeszło kilka minut. Ta sama burza, dała się uczuć z równą siłą i w Wiedniu. W środkowych znów Włochach wylewy wód okropne poczyniły spustoszenia. W górach wezbrane potoki pędząc w doliny z niezmierną szybkością, po drodze zniszczyły wszystko, znacząc ją niesłychanemi zasypami kamieni i mułu. Skutkiem takiego nagłego przybytku wód górskich, niektóre rzeki nad zwykły swój stan, popodnosiły się o dziesięć stóp i więcéj zalewając sąsiednie doliny i płaszczyzny. Obraz tą klęską dotkniętego kraju ma być przerażający.

Najstraszliwsze jednak zniszczenie sprawiła trąba powietrzna w Azji w Kalkucie, spadła na tę miejscowość w nocy z dnia 4 na 5 Października. Rozpoczęła rano silnym wichrem i ulewnym deszczem, około północy przemieniła się w złowieszczy szum, jakby warczenie daleko grzmotu, rozszerzającego swe straszliwe jęki na dwumilowéj blisko przestrzeni.

W dwie minut potém, nadpłynęła sama trąba i wszystko co napotkała, o co zawadziła, zdruzgotała w drobne kawałki zarzucając niemi wszystkie ulice miasta. Pomiędzy powalonemi drzewami dwu i trzyłokciowego obwodu, leżały potłuczone powozy, dachy żelazne pozwijane jak kawałki papiéru, okna, balkony, drzwi, gruzy z zawalonych wież i minaretów, potłuczone dachówki, i szczątki powyrywanych kominów. Z domów żaden nie ocalał i nie ma prawie jednego w całéj Kalkucie, któryby jakiejś nie doznał szkody. Na wodach burza jeszcze większe sprawiła zniszczenie. Piętrzące się i szalejące bałwany, tłukąc i szamocząc biednemi okrętami mnóstwo z nich pogrążyło w swoich otchłaniach a blisko sto wyrzuciło na ląd, łamiąc je jak zabawki dziecinne.

W Warszawie mieliśmy kilka dni wietrznych mroźnych i mglistych wszystko co żyje otuliło się w futra, wyczekując niecierpliwie ustalenia się sanny pożądanéj dla wszystkich, szczególniéj dla mieszkańców frontowych mieszkań, głuszonych nieznośnym trajkotem, a przemieniającym ową tak sławioną ciszę domowego pożycia, w zakład jakiś fabryczny, wiecznie dudniący i huczący, warkiem licznych kół, trybów i kółeczek.

Jeżeli przepowiednie pana Mathieu co do burz na wybrzeżach morskich sprawdzą się, potęga nauki, obserwacji i kombinowania nowym zajaśnieje tryumfem. Wtenczas uwierzę, że przedsiębierstwo towarzystwa w Anglji zawiązane w celu urządzenia sztucznéj wyspy Madery, dla chorych potrzebujących się leczyć w łagodniejszym klimacie uda się najzupełniéj. Towarzystwo bowiem ma blisko trzysta morgów ziemi w okolicy Londynu pokryć szkłem i zamienić w rozkoszny ogród, barwiący się zielenią, i napełniony balsamiczną wonią ze sztucznie utrzymanym klimatem Madery. W razie bowiem naprzód przez naukę zapowiedzianéj burzy, podobnéj jaka spadła na Kalkutę, przedsiębiercy postarają się o zabezpieczenie olbrzymiego gmachu już nie od zniszczenia ale od powybijania okien, co dla chorych nie mogłoby być ani miłém ani zdrowém. W każdym razie projekt ten obliczony na dziesięć miljonów złotych polskich wydatku, świadczy pochlebnie o przedsiębierczości anglików, i bogactwie prywatnych kapitałów, które podobno długo jeszcze pozostaną osią, na któréj się cały świat obraca.

Ale mniejsza o sztuczną Maderę, któréj pożytek bardzo będzie ograniczony: Anglja ma inne stowarzyszenia, których prace i poświęcenie całéj jéj społeczności przynosi przysługę. I tak, towarzystwo *czyścicieli butów* składające się z 372 chłopców w roku zeszłym zarobiło złp. 244,880 i utrzymując się samo przez się, dawało jeszcze przytułek dzieciom nie mającym schronienia. Towarzystwo zwane *brygadą gałganiarską*, utrzymujące się jedynie ze zbierania kawałków papiéru, gałganów, kości, kobierców, sukna, sznurków i t. p. nie tylko w roku zeszłym przetrwało bez żadnéj obcéj pomocy, ale nadto 30,000 stowarzyszonych złożyło w kassach własnych oszczędności złp. 60,000. Kluby do zaopatrywania biednych w odzież, zebrały złp. 36,000, towarzystwo zaś mające na celu zakładanie szkół dla ulicznikow, obchodziło niedawno dziewiętnastą rocznicę swego założenia. Ze złożonego sprawozdania, okazało się, że szkół

niedzielnych i codziennych utrzymuje towarzystwo 504 do których uczęszcza uczniów 49,750. Nauczycieli i monitorów jest przy nich 3,520 z których 2,700 nie pobiera żadnéj płacy, i 66 bibljotek z dziesięcioma tysiącami tomów. Piękne to i zacne prace, szkoda tylko że celami wzniosłemi jakiemi podobne stowarzyszenia są przejęte, nie jest ożywioną cała ludzkość, w najmniejszych i największych swych jednostkach.

Jeżeli jednak już na zwyczajnych drogach zaczynają używać lokomotyw do ciągnięcia wozów, jak to miało miejsce w Hamburgu; po powietrzu latać balonami, a w głębiach morskich pływać nurkowemi statkami, to jest nadzieja, że i ta przemiana spełni się i cała ludzkość stanie sie jedném stowarzyszeniem chrześcjańskiego braterstwa.

O UBIORACH.

Staniki do sukien najmodniejsze téj zimy, będą trojakiego rodzaju. 1-sze Staniki bez bawetu, okrągłe, gładkie, przepasane pasem szerokim jak ręka z wielką klamrą, emaljowaną stalową albo z perłowéj konchy. 2-gie Staniki z podwójnym rozchodzącym się bawetem jak u kamizelki, i z trzecim bawetem dosyć długim, wypuszczonym od pleców na kształt maleńkiéj baskiny. 3-cie Staniki z podciętemi okrągło przodami i baskiną długą na kształt fraka rozchodzącą się u dołu. Pod te kładzie się zazwyczaj mała kamizeleczka. Ostatni rodzaj staników wymaga obłożenia odmiennego koloru od sukni. Rękawy ścięte do łokcia wązkie, ciągle się utrzymują. Spódnice u dołu zakończają najczęściéj ostremi zębami, lub też grubym sznurem danym prosto albo w festony; u innych naszywają nad obrębem, plisy jedwabne, rusze, galony Perskie lub szlak z wyciętego w deseń aksamitu. Wiele téż widać haftowanych u dołu kordonkiem albo wyszywanych sutaszem i sznelą.

Z wyrobów wełnianych najwięcéj używane popeliny i rypsy, którym nadają rozmaite nowe nazwiska: *etincelle, perlé, Alsen, Puebla, Wool-Say, Lindsay, Say* i t. d. W ogólności tkaniny w podłużne paski powszechnie zostały przyjęte jakotéż w kratę i nakrapiane w centki.

Z pomiędzy materji jedwabnych, uważaliśmy w Magazynie pani Kwiatkowskiéj niektóre w szachownicę atłasową na tle *gros grains* tegoż samego koloru. Podobały nam się też materje kolorowe w szerokie pasy na których ciągnie się broszowany deseń. Fular ciągle noszony pomimo zimy.

Okrywki tegoroczne dosyć są krótkie. Na zwyczajną średnią figurę nie powinny miéć więcéj nad 7 ćwierci długości. Paletoty z boczkami na plecach najwięcej używane. Na niektórych widzimy odznaczoną z tyłu baskinę, u innych przody tworzą wielką kamizelkę z kieszeniami kwadratowemi po bokach. Wełniane paletoty obszywają pletnią, aksamitne pasmanterją przerabianą perłami z lawy.

Strojniejsze paletoty i rotondy aksamitne garnirują koronką *Chantilly* albo gipiurą. Niektóre z nich widzimy obszyte do koła koronką średniéj szerokości, inne ogarnirowane u dołu dwoma szerokiemi wolantami, jeden wolant naszyty bywa u brzega, drugi położony na aksamicie, ten ostatni, przytwierdzony w górze wązką pasmanterją z paciorkami.

Spódnice kolorowe stały się dziś niezbędnemi. Na ulicy nie widać wcale innych; jedne mają szlaki drukowane inne, przyozdobione są falbanką i aksamitką. Biała spódnica służy jedynie do wielkiego stroju. W krynolinach nie widziémy żadnéj zmiany; tworzą one powszechnie przedłużenie z tyłu. Ostrzegamy tylko że należy miéć koniecznie osobną krynolinę do ubrania, osobną zaś znacznie krótszą na ulicę.

Forma kapeluszy zimowych, zupełnie już ustalona. Ronda nad czołem podniesione ledwie na dwa lub trzy palce, główki maleńkie, uciekają na tył głowy. Karczki znikają coraz bardziéj, miejsce ich zastępuje koronka albo bufka, niekiedy pukle i kokardy ze wstążki lub aksamitki z długiemi końcami. Kapotki robią naciągane w podłuż, przeszywane najczęściéj rzędami czarnych paciorków. Takież paciorki wielkości dużego grochu, dają także u brzega rondka. Z pomiędzy strojniejszych kapeluszy, uważaliśmy czarny aksamitny gładki po bokach, przyciągany na środku. Część przyciągana tworzy jakby katalankę, otoczoną pasmanterją z paciorkami. Z tyłu spada od niéj szeroka frendzla, z pod frendzli zaś koronka czarna pokrywająca warkocz.

Opis sukien, okryć, kaftaników, czepków i kołnierzyków.

N. 1. Stanik frakowy z wełnianego fijołkowego wyrobu zwanego *perlé*. Kołnierz, obłożenie na staniku i na połach, epolet i mankiet z czarnego aksamitu lub materji. Guziki czworograniaste z lawy. — N. 2. Tenże stanik z drugiéj strony. — N. 3. Kołnierzyk do żałoby z czarnéj dubeltowéj krepy zakończony brzegiem perłami i bombkami lawowemi. — N. 4. Rękawek odpowiedni. — N. 5. Czepek z deseniowego tiulu garnirowany ruszą. Z tyłu kokarda ze wstążki zielonéj. — N. 6. Paltot z czasów Ludwika XV-go należy do najświeższych pomysłów mody. Robią go z rozmaitych gatunków sukna i z materjałów takich samych jak suknie z guzikami lawowemi. Suknia czarna jedwabna przybrana falbanką i aksamitką. Kapelusz z szafirowego atłasu pikowany w krateczkę, brzegiem obłożony czarnym aksamitem. — N. 7. Kaftanik marynarski z białéj flanelki albo sukna lekkiego w czarne, fijołkowe, pąsowe lub niebieskie paski. Kapiszon spiczasty przybrany kwastami i torsadą wełnianą. Kaftaniki takie bywają także z pluszu, aksamitu wełnianego w szkocką kratę i flanelki kolorowéj ozdobione dużemi guzikami kwadratowemi z lawy, z metalu, kości słoniowéj, konchy perłowéj, stali, aluminium lub drzewa rzeźbionego. Suknia z fijołkowego wyrobu wełnianego z jedwabiem *étincelle*, naszyta u dołu czarną materją i grubym sznurem szmuklerskim, w czarnym i fijołkowym kolorze. — N. 8. Paltot wcinany do figury z aksamitu albo

materji *gros grains.* Robią także paltoty tym samym krojem gdzie stan z baskiną składa się z aksamitu, a spódnica z materji. Do ozdoby służy gipiura, pasmanterja lub frendzla. Suknia jedwabna hawanna garnirowana u dołu czarną jedwabną ruszą, od któréj naszyta aksamitka. Kapotka z materji hawanna ubierana aksamitem czarnym. — N. 9. Paletocik dla panienki 9-cio letniéj z białego sukna z obłożeniem aksamitnem fijołkowem, które zastąpione bydź może materją, lub flanelką kolorową. Przy zakończeniu kołnierza dane są bombki sznelowe. Toczek aksamitny tego samego koloru jak obłożenie przy paltociku. — N. 10. Paltot z czasów Ludwika XV-go z granatowego sukna obłożony popielatym albo czarnym futerkiem. Przód formuje kamiżelkę z kieszeniami. Suknia szafirowa popelinowa obszyta u dołu aksamitką i wstawką gipiurową. — N. 11. Paltot zupełnie wolny z sukna koloru popielato-stalowego. Brzeg wycięty w zęby i objęty materją albo grubym sznurem. Suknia z ciemno brązowego rypsu. — N. 12. Paltot aksamitny nierównie dłuższy z tyłu jak na przodzie ze spódniczką fałdowaną i plecami odcinanemi z trzema zębami, ozdobiony grelotkami. Rękawy wązkie. Suknia czarna jedwabna. Kapotka jasno szafirowa *méxico* podłużnie marszczona z aksamitnemi czarnemi bokami, przybrana piórem. — N. 13. Paltot wcięty do figury z rypsu jedwabnego, także znacznie dłuższy z tyłu jak na przodzie. Klapy w kształcie połów od fraka garnirowane gipiurą. Suknia popielata z wyrobu wełnianego *lindsay.* Kapelusz z aksamitu zielonego. — N. 14. Ubranie głowy złożone z pąsowéj aksamitki, czarnéj koronki i kwiatu pąsowego. — N. 15. Kaftanik *Sénorita* z białego kaszmiru, naszyty plisami z szafirowéj materji. Pliski te przy szyi, rękawach i karoczku zakończone są szafirowemi bombkami sznelowemi. Pod spód idzie bluzka muszlinowa w szerokie zakładki, przegrodzone plisami z cienkiéj weby. Kołnierzyk mały z potrójnego muszlinu objęty wązką plisą płócienną. Mankiety przy rękawach bluzki odpowiednio przybrane. Kaftaniki takie znajdują się w magazynie pani Kwiatkowskiéj i Penkali w rozmaitych kolorach. naszyte galonem tureckim.— N. 16. Ubranie głowy złożone z blondyny, kwiatu aksamitnego, ze spadającéj barbki z jednéj strony i z pąsowéj aksamitki z drugiéj strony. — N. 17. Czepek muszlinowy przybrany lilla wstążką. Boki czepeczka wygarnirowane falbanką muszlinową z wązką gipiurą.— N. 18. Czepek tiulowy przystrojony szafirowemi aksamitkami. — N. 19. Mankiet płócienny haftowany, obszyty walansienką. — N. 20. Kołnierzyk wykładany tak zwany *juge* haftowany brzegiem i obszyty koronką, odpowiedni do mankieta powyżéj opisanégo. — N. 21. Rękawek płócienny wycinany w zęby i obszyty koronką, która zapełnia miejsca wycięte. N. 22. Kołnierzyk płócienny w wycinane zęby ze skośno przystębnowaną plisą i przymarszczoną w pośrodku walansienką. — N. 23. Kołnierzyk płócienny stojący, z wykładanemi na przodzie klapkami, obszyty walansienką. — N. 24. Kołnierzyk webowy z karbowaną półbatystową falbanką. — N. 25. Mankiet odpowiedni. — N. 26. Rotonda *Biarritz,* sukienna fałdowana na plecach z kapiszonem spiczastym, przyozdobiona sznurem szmuklerskim i kwastami. Rotondy takie robią także z tartanów w kratę albo w pasy. Suknia rypsowa hawanna w czarny rzucik, wycięta u dołu w zęby i obszyta powyżéj skośną plisą jedwabną. — N. 27. Rotonda zwana *Tallien* z granatowego weluru. Od karczka gładkiego spadają z boku dwie klapy pod któremi są otwory do wyjmowania rąk, trzecia klapa umieszczona jest na samym środku pleców. Klapy te ozdobione aksamitką, sznurem i frendzlą szmuklerską. Suknia czarna jedwabna garnirowana falbanką fijołkową i plisami z tejże materji. — N. 28. Okrycie akamitne watowane na jedwabnéj podszewce. Rękawy szerokie obszyte gipiurą. — N. 29. Paletot surdutowy z brązowego sukna, z przodu dosyć krótki, zaokrąglony z tyłu znacznie dłuższy obszyty w koło grubym sznurem szmuklerskim. Klapy przy kieszeniach duże. Suknia fijołkowa naszyta aksamitką. — N. 30. Paletot zwany *L'aïeule* wcinany do figury z materji *gros grains.* Stan oznaczony krótko. Spódniczka ułożona z tyłu w duży kontrafałd, naszyty szmuklerskiemi torsadami. Pasmanterja zdobi rękawy, koło pachy i cały paletot w okołc. Suknia popielata popelinowa. Kapelusz aksamitny.

Opis stanika frakowego i czepka muszlinowego.

N. 1. Boczek do stanika frakowego z wełnianéj popielatéj tkaniny mięszanéj z jedwabiem. — N. 2. Połowa pleców. Litery wskazują jak części te powinny być zeszyte i ułożone w fałdy. — N. 3. Przód zapina się na guziki szmuklerskie lub stalowe. — N. 4. Część wierzchnia rękawa. — N. 5. Druga część rękawa. Karoczek przy staniku i rękawy naszyte i objęte są pliskami z szafirowéj materji. Pasek szafirowy z klamrą stalową na przodzie. Ta sama forma służyć może do gładkiego stanika odjąwszy karoczek. — N. 6. Całość stanika.— N. 7. Główka powinna się krajać skośno i w całości bez przecinania, ozdobić ją można wstawką haftowaną, która się na główce naszywa, wyciąwszy dopiéro w tenczas muślin z pod spodu. — N. 8. Połowa karczka. Szerokość obrąbka i tiuliku gładko przyszytego oznaczoua na formie. — N. 9. Cała długość paska do przymarszczenia tyłu główki. Pasek ten składa się we dwoje i nawleka muszlinowemi kótkiemi i wązkiemi paskami do wiązania. N. 10. Połowa paska do przymarszczenia bufy z przodu. Szerokość paska składa się we dwoje. — N. 11. Bandaż do wiązania czepka obszyty tiulikiem. — Całość czepka.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się arkusz ze wzorami sukien, okryć i kaftaników oraz formą stanika i czepka.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Warszawa dnia 21 Listopada / 3 Grudnia *1864 roku.*

NA CMENTARZU, NA WULKANIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Jest to zaprawdę, ciekawa historja, odezwała się w téj chwili hrabina Adela, która miała czas spocząć po własnem opowiadaniu, jako kobiecie może mi też wolno będzie wmięszać do niéj słówko, i uczynić uwagę? Pan hrabia, świat i ludzi skłonnym jesteś uważać i sądzić z jednego człowieka, z siebie, z jednéj może kobiety, którą pierwszą spotkałeś na drodze. Jest to tym czasem wielkie nierozwiązane pytanie, czy jednostka abstrakcyjna, człowiek, prototyp istnieje, czy człowiek jest jeden, z jednéj formy wylany, czy mnogi, różny? czy jest dwóch, dziesięciu, czy tylko ów jedyny, jakiego nauka przyjmuje i system chce widzieć, bo mu z tem dogodniéj. Abstrakcye zdaje mi się w rzeczach życia są także rodzajem idełaów, którym rzeczywistość przeczy.

Pytanie to i forma w jakiéj rzucone było, zdumiały wszystkich, na kobietę było ono głębokiem, dotykało kwestyj rzadko niewiastom dostępnych, zdradzało surowsze zastanowienie się nad życiem, badanie go na drogach, niedostępnych ogółowi; nie dziw też iż wszystkie oczy zwróciły się ciekawiéj, goręcéj, z zajęciem i ciekawością na hrabinę, któréj usta zbladłe uśmiechnęły się dziwnie.

— Cudowne pytanie! zawołał Szwed ręce składając, ale pozwól pani zapytać, gdzie żeś i kiedy miała czas w życiu, tak surowo, tak poważnie badać człowieka?

— Cierpienie jest wielkim nauczycielem odparła hrabina, w długich godzinach niedoli i boleści miałam książki, one mnie odrywały od zbyt smutnego chleba powszedniego.

— Wróćmy do zadania, przerwał Spauer, hrabina postawiła je jasno, cóż pan na to?

— Nie jestem wcale filozofem, odparł hr Żywski, ale coś mi się śni, że na wytłumaczenie wszystkich trudności, charakterów i zawad życiowych, można właśnie postawić przeciw memu człowiekowi jednemu, wielką rozmaitość człowieczków. Nie przeczę że społeczność różna, losy rozmaite, wpływy, klimat, strawa, choroby, wykształtowują z tego zlepku gliny, różne figurki mniéj więcéj karykaturalnie pokrzywione, ale zawsze koniec końcem, te ułamki dają się sprowadzić do jednego mianownika. —

Możem się ja omylił, biorąc za prototyp to co nim nie było, za główne to, co było podrzędnem, za organa, co było kalectwem, ale to wina fizyologa, anatomisty, nie zasady, człowiek jest jeden.

— Dziwi mnie, że tak dobrze go znając, nie zwyciężyłeś pan przecie jednéj słabéj kobiety! odezwała się uśmiechając hrabina, kobiety jak się z pańskiéj historyi uczemy, złamanéj już życiem, osłabłéj walką wewnętrzną, nad którą miałeś wyższość teorji zimnéj i rachuby?

— Chłodu! chłodu właśnie mi brakło, przerwał hrabia, zgubiła mnie namiętność! złém zrobił żem się w niéj zakochał, alem gwałtownie zapragnął jéj przywiązania, jéj

uległości dla mnie, a tego otrzymać nie mogłem. Opór i upór rozdrażniły mnie, rozwściekliły, straciłem równowagę i — padłem.

— Jakże się to stało? spytała hrabina z cicha, mów pan, bo zaprawdę dla nas kobiet szczególniéj, to ciekawa spowiedź? Ja nie kryję wcale, żem bardzo chciwa, nawet drobnostek, jest to studium zajmujące. Ta maleńka słaba istotka, głupiuchna, uparta, rozpieszczona, dziwaczna, któraby tak długo w surowéj walce wytrwać nie była powinna, w końcu zwycięża takiego olbrzyma uzbrojonego niewiarą i bezlitością? Z resztą jeśli wolno jeszcze jedno pytanie. Dla czego pan temu epizodowi swojego życia, nadajesz taką wagę? wedle jego teoryi, cóż prostszego nad porzucenie i skruszenie zawady? Celem życia jeśli się nie mylę, dodała, było zdobycie narzędzia siły, grosza.... złota? kobieta ci przeszkadzała, mogłeś ją odepchnąć, skorzystać tylko z jéj położenia i daléj iść drogą swoją do głównego celu. Czyżbyś go stracił z oczów, lub się przekonał że to co brałeś za cel było środkiem tylko.

Hrabia błysnął rozżarzonemi oczyma, ale twarz jego po chwili przybrała pargaminową nieruchomość i zastygłość.

— Wyznałem już z pokorą jak na spowiedzi, odparł, żem stracił panowanie nad sobą, byłem rozdrażniony, roznamiętniony.

— Dla kobiety? spytała hrabina.

— Nie wiem, pragnąłem zwyciężyć i być panem. Z resztą ten cel o którym pani wspominasz, w istocie zmalał w mych oczach, nie miałem ambicji, nie było dokąd iść daléj. Miałem dosyć pieniędzy, alem już nie wiedział co za nie kupować. Zwykle chciwy człowiek dojrzewający dopełnia próżnością, chce władzy, błyskotek, tytułów, znaczenia, dla mnie to były głupstwa i dzieciństwa. Chciwość też we mnie nie przerodziła się w skąpstwo, pieniądz nie przestał być narzędziem, na nieszczęście z tą dźwignią w ręku, stałem w obec śmieciska i brudów, których ruszać nie miałem ochoty, brała mnie od nich odraza.

— Przewiduję ciekawy stan duszy, zawołał szwed, już go widzę nadchodzącym, nicość, czczość, próżnia.

— Tak jest, rzekł hrabia, z tego wszystkiego zostało mi na mogile pokonanych namiętności, ogromne poziewanie? Swiat mi się wydaje głupi, czczy, niezrozumiały, obstawiony murem, który przełamawszy, znajdujesz drugą próżnię, drugi głupi mur i tak do nieskończoności przestrzenie puste, wolno je drugim marzeniami zapełnić, ja nic nie widzę.

— Czy dla tego żeś ślepy, czy że nic nie ma? spytał Szwed.

— Otóż pytanie, ja sądzę że mam oczy i wzrok dobry, wy powiecie pewnie, że mam bielmo na źrenicach.

— Zgadłeś pan, rzekł Swedenborgista masz istotnie bielmo, a najlepszym dowodem że tysiące ludzi do koła ciebie stojących coś widzą, gdy ty się upierasz, że nie ma nic.

— Ależ ja się przy niczem nie upieram, mówił hrabia, mnie to jest obojętnem całkiem! Patrzajcie na mary i widma, gadajcie do nich, pokazujcie je sobie, cóż mi to szkodzi żeście oszaleli! Najlepszym dowodem dla mnie czczeni i próżni, jest to, że w niéj każdy z was, widzi to, co sam chce, że ją zaludnia upiorami, które sam wywołał, że się nie godzicie na jedno, że przez pochlebstwo i głupotę, naśladownictwo, potakujecie sobie, gdy w głębi dusz waszych taż sama przepaść, co u mnie!

— Czy wrócimy do biografii, spytał Sir Price.

— Możemy do niéj powrócić, szepnął obojętnie hrabia, ale ona jest skończona, bo życie bez celu, wiary, namiętności i złudzeń, może się zerwać gdzie chce, zawsze będzie całe. To co mógłbym dodać, będzie powtórzeniem. Po długich a próżnych zapasach z tą kobietą, która musiała być bardzo nieszczęśliwą ze mną, temu nie przeczę, przyszło nareszcie do rozstania. Byłbym tak prędko nie zerwał, ale nasze prawa, dawały jéj możność wyzwolenia się od małżonka,

opierałem się, targowałem, wyciągnąłem z mego położenia wszystkie możliwe korzyści, nareszcie potrzeba było uledz, rozwód został wyrzeczony, ona wolną....

Rozśmiał się dziko.

— Sądziła się nią przynajmniéj, rzekł szyderczo, ale człowiek ma swe słabości, i ja się przyznaję do mojéj, nie koniec téj historji. Postanowiłem za tą istotą, która mnie nienawidzi, która się mną brzydzi, dla któréj twarz moja jest głową Meduzy, iść w ślad gdziekolwiek ona pójdzie i utworzyłem sobie z tego jakiś sztuczny cel życia. Otrzymując rozwód wypędziła mnie z pod jednego dachu, ale nie mogła mi odebrać prawa, którego używają wszyscy ludzie, rozporządzania sobą. Uciekła, pogoniłem za nią, wszędzie gdzie stąpi, gdzie się najmozolniéj ukryć zechce, ja ją doścignę. Cóż mi zarzucić może? nie mówię słowa, nie otwieram ust, nie zbliżam się do niéj, nie mięszam do jéj spraw, ale jestem niemym świadkiem życia jéj, i szyderski mój uśmiech spotyka wszędzie, gdzie szuka swobody, zapomnienia, ciszy. Tym sposobem nalawszy ukropu do ostygłéj wody, uczyniłem sobie egzystencją prawie znośną, bawi mnie to że ją męczę.....

Zatarł ręce.

Radaby żebym gdzie kark skręcił, dodał, ale jakeście państwo świeżo widzieli, jestem i wytrwały i szczęśliwy, nawet z krateru Wezuwjuszowego dobywam się nieuduszony, nieupieczony i uwędzony, tylko abym się lepiéj zakonserwował. Mam więc wszelką nadzieję, że jéj jeszcze dokuczać potrafię dosyć długo, gdy mnie nie stanie, już dla oswobodzonéj zapóźno będzie rozpocząć życie, już ten strach ją wyczerpie, złamie, a zemsta moja się nasyci.

— Zdaje mi się, odezwała się w téj chwili hrabina z uśmiechem łagodnym, że pan co tak doskonale rachować umiesz wszystko, pomijasz jednak w swéj rachubie pewne żywioły ważne. Człowiek ze wszystkiem się oswaja, to co mu było strasznem, po pewnym przeciągu czasu, staje się tylko nudnem, na ostatku obojętnem, a późniéj może niewidocznem nawet.

— Ja też nie myślę zpowszednieć, rzekł pargaminowy, gram moją rolę z wielką przezornością, znikam na czas jakiś aby dać nadzieję umęczonéj, że mnie gdzieś śmierć na rozdrożu zdusiła, potem gdy swobodniéj oddycha, niewidzialny ścigając ją, zjawiam się w chwili gdym najmniéj spodziewany.

— Gdyby ta historja odbywała się we Włoszech, przerwał Sestini, w którego twarzy malowało się oburzenie gwałtowne, nie długobyś pan grał tę rolę prześladowcy. Jeżeli nie zakochany, to litościwy a gorący człowiek, poszedłby za panem ze sztyletem i w ciemnym kącie, pchnąłby pod piąte żebro.

Hrabina się wzdrygnęła.

— Rzecz możliwa zawsze, rzekł spokojnie Żywski, ale myślicież iż krwawe widmo z rozdartą piersią, nie ścigałoby jéj jeszcze? Ten coby to uczynił a wprawnie i nie męcząc mnie, wyrządziłby mi prawdziwą przysługę; naprzód życie dosyć jest nudne, powtóre istotnie może stanę się powoli śmielszym, daléj a daléj, a tak byłbym zawsze strasznym, uzyskałbym przywiléj ścigania jéj nie tylko we dnie po publicznych drogach, ale w snach i marzeniach, w ciemnościach nocnych, na wieki wieków. Widziałaby mnie wszędzie, mogłaby oszaleć, umrzeć, rozchorować się....

Nawet wesoły garbus stracił usposobienie do śmiechu i żartów, zmrożony tą powieścią, czoło jego poorało się zmarszczkami, usta drżały, dumał głęboko.

— Wielkie to szczęście, zawołał, że na zakąskę po téj potrawie ostréj i gryzącéj jaką była biografia szanownego hrabiego, mamy jeszcze, dzisiejszego naszego gościa, wskazał Szweda, a wnosząc z samego oblicza, czuję że ona będzie balsamem co nas uleczy, zechcecież?

Szwed się łagodnie uśmiechnął. był smutnie zamyślony.

— Jam człowiek z innego świata, szepnął

powoli, niezrozumieliybście mnie może? Cóż ja wam powiem? pielgrzym dążący do jasnych krain prawdy, zaglądający we wszystkie szczeliny zkąd jakiś blask pada? Zechcecież wy zepsuci obcowaniem w tych sferach, które nie są mojemi, uwierzyć słowom moim, zająć się tem co ja miłuje? Dla was ta poczwarna historja człowieka, który skończył na niedorzecznéj zemście począwszy od swawolnego rachunku, jest zrozumiałą, jasną, prawdziwą, patrzycie na podobne, choć nieco ubrańsze, ale cóż powiecie o mojéj.

— Sąd nam zostawcie, rzekł hrabia, kontrasta są rzeczą bardzo w sztuce pożądaną, nieprawdaż panowie artyści?

— Z tym warunkiem odparł Spauer, aby nie były zbyt ostre, zamiast efektu, otrzymuje się naówczas niezrozumiały chaos, w naturze i w sztuce, która jest jéj abstrakcyą, wszystko się zlewa, łączy, nawet sprzeczności muszą mieć z sobą coś wspólnego' jakiś węzeł jednoczący je tajemnie, rozumie to filozofia, powinna pojąć i sztuka, kontrastem nie może być co nie jest jednorodnem.

— Odchodziemy od przedmiotu, przerwał vice-hrabia, estetyka dziś nie na miejscu, do biografii wracamy. Mów szanowny mieszkańcze stref północnych. Zaledwie będziesz miał czas się wyspowiadać, bo jednym się już oczy kleją, drudzy ulękną się białego dnia, który mimo żeśmy ludzie, wielkie wywiera wrażenie nawet na myśli, nawet na uczynki człowiek w nocy śmielszy.

— Smutna prawda, która dowodzi, jak jest słabym, odezwał się hrabia szyderczo, gdyby nie noc ileby to zbrodni i głupstw oszczędziła sobie ludzkość!

— A może i heroizmów zawołał Spauer.

— Bo heroizmy są także w swoim rodzaju głupstwami i śmiesznością rzekł hrabia.

— No, ale do rzeczy! pędził vice-hrabia, czuję sielankę i pragnę jéj, czekamy, słuchamy, prosiemy, napijmy się mleka po spirytusie!

— Ale się nieochybnie zawiedziecie w swoich oczekiwaniach, rzekł Szwed powoli, nic prostszego nad tę powieść o człowieku szczęśliwym i spokojnym, gdy was burze życia zagnały na skały i bezludne wyspy, mnie szczęśliwy wiatr wyniósł na żyzne brzegi nowego świata. Nie chlubię się z tego wcale, nie sobie to zapewne winieniem, ale temu co rozrządza losami naszemi.

— Każdy ma to, na co zasłużył, szepnął Spauer.

— Urodziłem się w tym kraju, który wy tak mało znacie, w odległym kącie cichym, spokojnym. Ojciec mój był bogatym stosunkowo wieśniakiem, matka córką pastora z okolicy, pamiętam dobrze moje dziecinne lata, upłynęły one szczęśliwie, łagodnie, w pieszczotach macierzyńskich, nad wielką biblią z której obrazków uczyłem się historyi świata i człowieka, tłumaczyła mi ich matka, bo wiele tam dla mnie było rzeczy niepojętych. Miałem dosyć swobody zwłaszcza w lecie i sam poznałem się z tą naszą przecudną naturą północy, poważną, majestatyczną, nie obudzającą namiętności, ale rozbudzającą myśl w człowieku, która nie mniéj jest w swoim rodzaju piękną, jak ten gorący krajobraz neapolitańskiéj zatoki. Tylko urok tam inny, który działa nie tak gwałtownie, którego znaczenie odkrywa się wtajemniczonym dopiero, którego się trzeba nauczyć czytać powoli. Z biblją razem, podania naszéj ojczyzny, karmiły moją młodość poezją, sprzeczność ich i zgoda wprowadziły mnie pierwsze na drogę porównań, na pojęcie pozornych świata kontrastów, na szukanie w obojgu prawdy jedynéj.

Dzieciństwo moje i młodość były poważne i surowe, długo bardzo nieznałem co jest miasto, słyszałem o niem i różniem sobie je wyobrażał, ale oprócz sąsiedniego małego miasteczka niewiele odmiennego od wiosek poblizkich, nie byłem w żadnem znaczniejszem, anim tak bardzo ujrzeć je pragnął.

(d. c. n.)